



Zane Grey

TĘCZOWY SZLAK



29

ISBN 978-83-66268-28-9

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Zane Grey

TEŃCZOWY SZLAK



Pearl Zane Grey urodził się 31 stycznia 1872 roku w Zanesville w stanie Ohio – w mieście, którego współzałożycielami byli jego przodkowie ze strony matki, a zmarł w Altadena, w Kalifornii, 23 października 1939 roku.

Był jednym z najpopularniejszych i najwyżej ocenianych autorów powieści o Dzikim Zachodzie, współtwórcą gatunku literackiego zwanego dziś westernem. Jego dorobek twórczy ocenia się na około 90 książek (głównie powieści), z których ponad dwie trzecie to westerny. Pozostawił po sobie wiele książek dla młodzieży, w tym biografię młodego Jerzego Waszyngtona, publikacje poświęcone swoim wielkim pasjom: bejsbolowi – w który grywał w czasie studiów, a później przez pewien czas półzawodowo – oraz wędkarstwu, a także liczne zbiory opowiadań.

Miłośnik dzieł J.F. Coopera i D. Defoe, a także zeszytowych powieści przygodowych, studiował stomatologię, ale głównie po to, by uzyskać stypendium sportowe. Praktykę dentystyczną porzucił potem na rzecz pisarstwa, podobnie imię Pearl. Debiutował wydaną w 1903 roku powieścią historyczno-przygodową *Betty Zane*, otwierającą trylogię o jego przodkach z początków Stanów Zjednoczonych. Wydał ją własnymi siłami po odrzuceniu przez wydawnictwo Harper & Brothers.

Przełom w jego twórczości nastąpił dopiero w 1912 roku, gdy to samo wydawnictwo opublikowało, nie bez oporów redaktora naczelnego, *Jędrzców krainy purpurowej bylicy*. Powieść okazała się bestsellerem – po dziś dzień należy do najpopularniejszych dzieł Greya. Harper wydał też wcześniejsze jego książki, w tym *Ostatni mieszkaniec równin*, a kariera Greya nabrała niepokonowanego rozpędu. Dziś uchodzi za jednego z pierwszych amerykańskich pisarzy milionerów. Doceniono nie tylko umiejętność snucia fascynujących opowieści, ale i dbałość o realia, wiążącą się z jego częstymi podróżami w poszukiwaniu inspiracji.

Jego westerny doczekały się 46 pełnometrażowych ekranizacji i 31 krótszych. Nie był to jedyny związek Zane'a Greya z filmem. W roku 1919 powołał własną wytwórnię filmową. Sprzedana jakiś czas potem, stała się częścią podwalin wielkiego Paramountu.

W Polsce w latach międzywojennych i tuż po wojnie ukazało się w sumie kilkanaście przekładów powieści Zane'a Greya, głównie nakładem wydawnictwa M. Arct. W 1951 roku jego książki zostały objęte zapisem cenzury, nakazującym także niezwłoczne wycofanie ich z bibliotek. Powracać tam i do księgarni zaczęły dopiero w 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, i to niekoniecznie tych najciekawszych lub najlepszych.

Zane Grey



TECZOWY SZLAK

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

**Siedemdziesiąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Dwudziesty dziewiąty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
The Rainbow Trail

© Copyright for the Polish translation by Janusz Pultyn, 2020

21 kolorowych ilustracji: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations
by Dariusz Kocurek, 2020

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja i korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2020

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-66268-28-9

Przedmowa

Czar pustyni powrócił do mnie, jak będzie powracał zawsze. Widzę w kanionie przesłony przypominające purpurowy dym i czuję ciszę. Wydaje mi się również, że ponownie muszę przebić się przez jedno i drugie, przedostać się do dziwnego, dzikiego życia na ostatnim amerykańskim pustkowiu – nadal niemal równie dzikim, jakim było ono zawsze.

Choć powieść ta jest niezależną książką, to Czytelnicy *Jeźdźców krainy purpurowej bylicy* odnajdą w niej odpowiedź na często zadawane przez nich pytanie.


Pragnę także powiedzieć, że w odcinkach i w odmiennej postaci powieść ta, pod tytułem *Pustynny tygiel* ukazywała się w jednym z miesięczników¹.

Zane Grey, czerwiec 1915

¹ *Miesięcznik* – chodzi o *Argosy*, gdzie powieść ta pod tytułem *The Desert Crucible* ukazywała się w numerach z maja, czerwca, lipca, sierpnia i września 1915 roku oraz o *Field and Stream Magazine*, który drukował ją także w roku 1915.

Rozdział I

Red Lake

hefford zatrzymał swego zmęczonego konia i wpatrywał się powoli pojmującymi oczyma.

Długie na ligę¹, porośnięte bylicami², pofalowane zbocze opadało do Red Lake³, wyschniętej, czerwonej niecki, obnażonej i błyszczącej, zagłębienia w pustyni, samotnej i opuszczonej furcie wiodącej ku ciągnącej się za nią rozległej, dzikiej i poszarpanej wyżynie⁴.

Przez cały dzień Shefford podążał z trudem w stronę wyraźnej linii horyzontu, ku rzeczy nieosiągalnej; całe dni wcześniej pokonywał zaś dzikie, nagie płaskowyże i wspinał się na skaliste wały pustyni. Wielkie kolorowe przestrzenie i stopnie przez niewyraźne i mylące dale wiodły bez końca naprzód i wwyż.

Długa na sto mil podróż pustynią, choć pełna błędów, nauczek i lekcji pokory, nie przygotowała go na to, co widział teraz. Patrzył na świat, który zdawał się znać wyłącznie ogrom. Przyglądał się ze zdumieniem i grozą, a myśli trzymały się z daleka. Następnie owa mroczna i nieznana kraina na północy zdała mu się zagrożeniem. Nieodparte wezwanie ściągnęło go do tego pooranego bruzdami i wy-

¹ *Liga* (ang. *league*) – dawna jednostka długości, odległość, jaką człowiek może pokonać pieszo w ciągu godziny, w krajach angielskich liga lądowa jest tradycyjnie uważana za odpowiednik trzech mil (czyli ma 4828 metrów).

² *Bylice* (*Artemisia*) – rodzaj roślin z rodziny astrowatych, obejmuje krzewy i byliny, po angielsku *sagebrush*, główny gatunek na suchych (niepustynnych) terenach zachodniej części Stanów Zjednoczonych to bylica trójzębna, *Artemisia tridentata*, ang. *big sagebrush*, tworząca krzewy dochodzące do 3 m wysokości, wydzielające olejki aromatyczne, kwitnące na żółto.

³ *Red Lake* (ang. Czerwone Jezioro) – małe (ok. 1200 m długości) jezioro w północnej części stanu Arizona w Stanach Zjednoczonych, na terenie osady Tonalea, w wielkim rezerwacie Indian Nawaho, gdzie rzeczywiście istniała dawna placówka handlowa, ale założona w roku 1891, dziesięć lat po początku akcji powieści.

⁴ *Wżyzyna* – chodzi o Black Mesa, płaskowyż będący częścią Colorado Plateau.

rastającego szczytami pogranicza Arizony, do tej potrzaskanej, blankowanej dziczy wyżyny Utah, a teraz, kiedy po raz pierwszy ją ujrzał, szczyrzyła na niego kły, jakby ostrzegając, żeby nie sprawdzał, co leży ukryte poza pasmami gór. Dreszcze Shefforda wywołane były jednak zarówno lękiem, jak i zachwytem. Taką właśnie krainę mu opisywano. Daleko poza czerwoną doliną, daleko poza poszarpaną linią czarnej *mesy*¹ i żółtego pasma gór, leżał dziki kanion kryjący swą drażniącą tajemnicę.

Red Lake musi stać się jego Rubikonem². Musi albo wkroczyć w nieznanne, aby poszukiwać, sięgać po coś, znajdować, albo zawrócić, zawieść, nie dowiedzieć się nigdy i czuć się zawsze dręczonym. Dziwna opowieść przyjaciela pchnęła go do tej osobliwej podróży, piękna tęcza przekonała go swą tajemnicą i obietnicą. Po raz pierwszy w życiu odpowiedział na rozbrzmiałe w nim dzikie wezwanie do krainy przygód i po raz pierwszy w życiu był szczęśliwy. Tu wszakże wobec sięgającego po szeroki horyzont oblicza owej wznoszącej się i rozłupanej pustyni zaczął stygnąć, chwiać się, choć jednocześnie czuł coraz bardziej nieuchronne przyzywanie.

Shefford, jakby przymuszony, ruszył konno w dół piaszczystego traktu, który jednak sprawdził uprzednio sięgającym daleko spojrzeniem. Był wówczas kwiecień, a opadające słońce traciło żar i jasność. Długie cienie wyciągały się przed nim w dół zbocza, a nieliczne bylice pogłębiały swą szarość. Patrzył na jaszczurki niby brązowe smugi śmigające po piasku i zostawiające wąskie ślady; słyszał szelest nowików zmykających do swych domów z chrustu; krzyk szybującego nisko jastrzębia³ spłoszył konia przybysza.

¹ *Mesa* (hiszp. stół) – płaskowyż o stromych, urwistych ścianach, typowy dla zachodniej i południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych.

² *Rubikon* – mała (29 km długości) rzeka w północnych Włoszech, wpadająca do Adriatyku, w czasach Republiki Rzymskiej granica prowincji Italia, której nie można było przekraczać z wojskiem, w 49 r. p.n.e. dokonał tego Juliusz Cezar, rozpoczynając wojnę domową; później przenośnie granica, za którą nie można już zawrócić.

³ *Nowiki* (*Neotoma*) – rodzaj gryzoni występujących w Ameryce Północnej, najpowszechniejszy gatunek to nowik białogardły (*Neotoma albigula*) żyjący także w Arizonie, długości 30-40 cm, buduje ogromne (do 2 m wysokości) gniazda, o jasnej sierści, roślinożerny; *jastrzęb* – w Ameryce Północnej jastrzębiem nazywany jest my-

Zbocze wznosiło się i opadało niby fale oceanu, jego zagłębienia wypełniał piasek, a wierzchołki grzbietów skąpo porastały bylice, trawy i chwasty. Ostatni grzbiet był piaszczystą wydumą, pięknie żłobkowaną, rzeźbioną we wzorki i porysowaną przez wiatr, a z jego ostrej jak nóż grani ulatywała cienka, pofałdowana płachta piasku, wyglądająca niemal jak dym. Shefford zastanawiał się, dlaczego z oddali piasek ten wyglądał na czerwony, podczas gdy z bliska był prawie biały. Marszczył się wszędzie, czysty i lśniący, zawsze schodząc w dół.

Nagle Shefford dostrzegł dom wylaniający się z nagiego stoku. Panował na owej długiej, białej pochyłości. Posępny, samotny, odpychający, jakże uderzająco harmonizował z otoczeniem! Budynek był ośmioboczny, wzniesiony z nieociosanych kamieni i przypominał warownię. W bokach otwartych na spojrzenia Shefforda nie było drzwi, lecz małe otwory na dwóch trzecich wysokości ścian pełniły zapewne funkcje okien i strzelnic. Dach wydawał się być zbudowany z żerdzi pokrytych czerwoną ziemią.

Niby wielka zimna skała na rozległej równinie, budynek ów stał na omiatanym wiatrem zboczu. Był siedzibą handlarza Presbeya, o którym Shefford słyszał we Flagstaff¹ i Tubie². Żadna żywa istota nie pojawiła się w zasięgu wzroku przybysza. Wzdrygał się, patrząc na niezapraszający dom, na ciemne, przypominające oczy okna, na przestwór nagiego stoku przechodzącego w rozległą, czerwoną dolinę³, na śmiałe, przynębiające urwiska. Czy ktoś mógł tam mieszkać? Charakter tej posępnej doliny nie dopuszczał do stawiania tam domu, a duch

szolów rdzawosterny (*Buteo jamaicensis*) z rodziny jastrzębiowatych, duży (do 60 cm długości) ptak drapieżny, o szerokich skrzydłach, występujący w całej Ameryce Północnej i Środkowej.

¹ *Flagstaff* – miasto w Stanach Zjednoczonych, w północnej części Arizony, założone w roku 1876, obecnie około 70 tys. mieszkańców, jest ośrodkiem przemysłowym (głównie przemysł drzewny), turystycznym (leży niedaleko Wielkiego Kanionu) i naukowym (obserwatorium astronomiczne, siedziba uniwersytetu Northern Arizona).

² *Tuba City* – małe (ok. 9 tys. mieszkańców) miasteczko w Stanach Zjednoczonych, w północnej części Arizony, przy granicy z Utah, na pustyni Painted Desert, założone w roku 1872 przez mormonów, obecnie główny ośrodek rezerwatu plemienia Nawaho, także turystyczny, leży około 35 km na południowy zachód od Red Lake.

³ *Dolinę* – chodzi o Red Lake Valley, część wielkiej doliny Begashibito Wash, pomiędzy płaskowyżami White Mesa i Black Mesa.

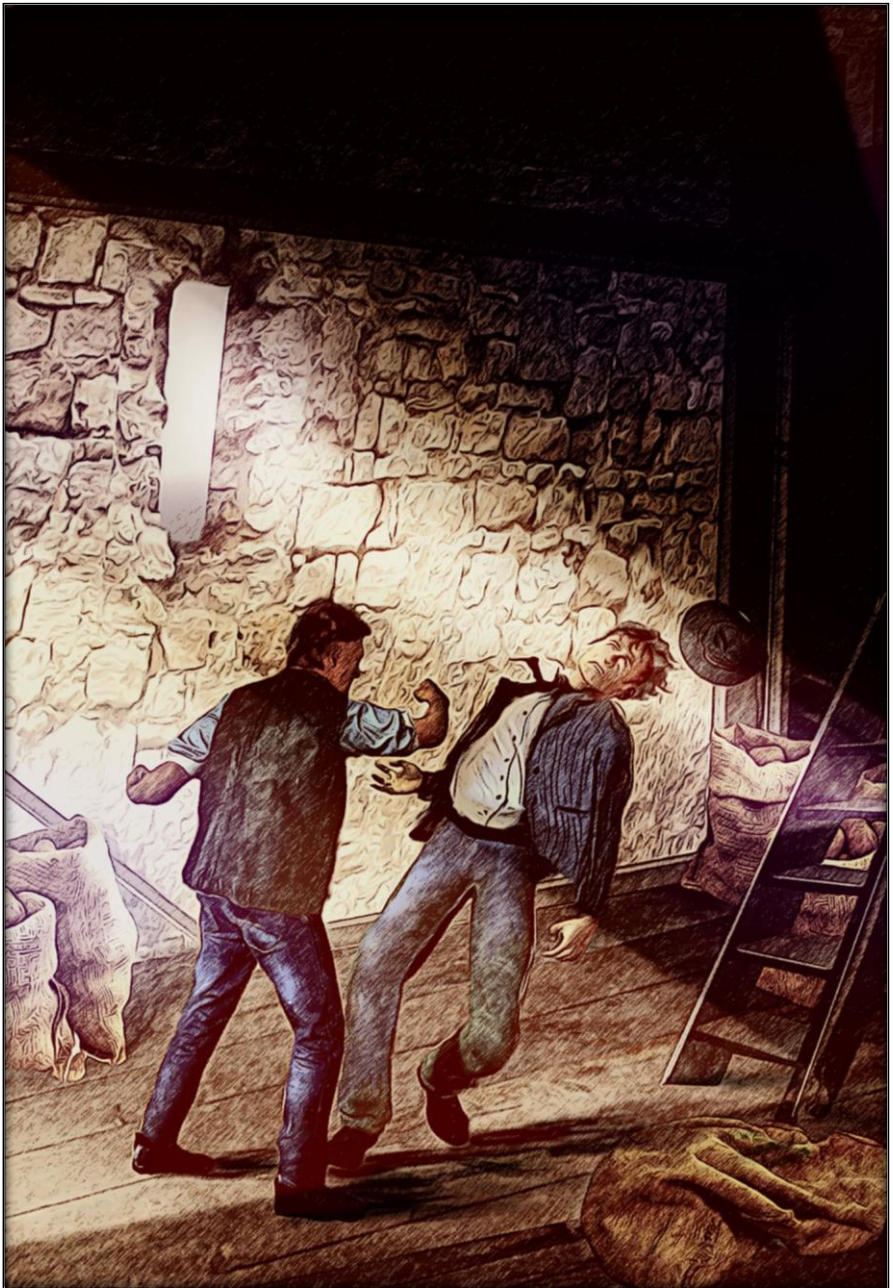
owego miejsca przenikał ciszę i przestrzeń. Shefford nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że wrogowie osadziliby go we właśnie takim piekle. Z goryczą i pogardą rozmyślał o ograniczonej kongregacji¹, która wykazała, że nie sprostał służbie kapłańskiej, która obaliła jego przekonania o religii, nieśmiertelności i Bogu, która go wyгнаła, gdy miał dwadzieścia cztery lata, odrzuciła powołanie, jakie wymusili na nim bliscy. Jako chłopiec marzył o zostaniu artystą, lecz rodzina uczyniła go duchownym, a los skazał na porażkę. Porażkę dopóki co jedyną w jego życiu, coś skłaniało go pośpiesznie do dodania tego – ponieważ podczas samotnych dni i cichych nocy na pustyni doświadczał dziwnych narodzin nadziei. Wzywała go przygoda, lecz owa nadzieja była ulotna i duchowa, stanowiła sen o obietnicy, nienazwanym osiągnięciu, który umacniało jego bardziej dzikie pobudki.

Kiedy Shefford okrążył narożnik kamiennego budynku, jego koń zarżał i stanął. Chudy, kudłaty kuc podskoczył na jego widok, niemal zrzucając czerwoną derkę o długim włosiu, przykrywającą indiańskie siodło. Szybkie stuki kopyt na piasku zwróciły uwagę przybysza na *corral*² wykonany z okorowanych słupków, w którym dostrzegł innego kuca.

Shefford usłyszał przytłumione głosy. Zsiadł z konia i podszedł do otwartych drzwi. W mrocznym wnętrzu dostrzegł niewyraźnie wysoki szynkwias, schody, stos worków z mąką, koce i ozdobione srebrem przedmioty, ale w tej części domu nie było osób, które usłyszał. Za następnym narożnikiem ośmiobocznej ściany natrafił na inne otwarte drzwi, przez które zobaczył skóry kóz i kupę brudnej wełny owczej, czarnej, brązowej i białej. W tej części budynku było jasno. Po przekroczeniu progu zdumiał go widok mężczyzny mocującego się z dziewczyną – Indianką. Wyrывała mu się, dysząc i wydając ciche, gardłowe odgłosy. Twarz mężczyzny była pokryta pręgami żył i pociemniała z gniewu. Owa scena dziwnie wpłynęła na Shefforda. Tak prymitywne namiętności były dlań czymś nowym.

¹ *Kongregacja* – tutaj wspólnota religijna, kościół.

² *Corral* (hiszp. zagroda) – w Stanach Zjednoczonych określenie ogrodzonych wybiegów dla koni, owiec i bydła.



To instynkt nakazał Sheffordowi uderzyć, a jego cios powalił napastnika.

Zanim Shefford zdołał się odezwać, dziewczyna wyrwała się i odwróciła, aby uciec. Była Indianką i przynależała do niecywilizowanej pustyni, lecz przybysz rozpoznawał przerażenie, kiedy je dostrzegał. Mężczyzna niczym pies ruszył za dziewczyną. To instynkt nakazał Sheffordowi uderzyć, a jego cios powalił napastnika. Ten przez chwilę leżał oszołomiony, a potem podniósł się do pozycji siedzącej, przyłożył dłoń do twarzy i gapił się na przybysza spojrzeniem, w którym zdumienie zdawało się łączyć z wściekłością.

– Sądzę, żeś nie jest Presbrey – powiedział powoli Shefford. Czuł się niezręcznie, niepewnie.

Mężczyzna był bliski zasypania go słowami, lecz się powstrzymał. Na ustach i dłoni miał krew. Pospiesznie i niezdarnie wstał. Shefford dostrzegł, że u owego mężczyzny zdumienie i wściekłość zastąpił wstyd. Był on wysoki i dość tęgi, o gładkiej, ogorzalej twarzy, łagodnych rysach, niewielkim podbródku, oczy miał ciemne. Jego wygląd, sztruksowy strój i miękkie buty doprowadziły Shefforda do wniosku, że nie pracuje ciężko. W porównaniu z niewieloma innymi znużonymi i obszarpanymi ludźmi pustyni, jakich napotykał przybyły, ten obcy ogromnie się wyróżniał. Teraz pochylił się po miękkim, filcowym kapeluszu, wcisnął go na głowę i szybko wyszedł. Shefford ruszył za nim i przyglądał się mu z drzwi. Mężczyzna udał się prosto do *corralu*, dosiadł kuca i wyjechał, aby skrócić w dół zbocza, w kierunku południa. Po dotarciu do poziomego niecki, gdzie piasek był wyraźnie twardszy, pogonił kuca dłuższym krokiem i stopniowo się oddalał.

– No! – wykrzyknął Shefford. Nie wiedział, jak ma rozumieć tę awanturę. Uświadomił sobie, że indiańska dziewczyna siedzi pod ścianą na zawiniątku z koców. Powodowany dużą ciekawością oceniał jej wygląd. Miała długie, kruczoczarne włosy, potargane i rozczochrane, a nad czołem poplamioną, białą opaskę ze sznurka. Shefforda zdumiał odcień jej twarzy: była ciemna, ale nie czerwona czy brązowa, tylko o barwie prawie złotej. Profil dziewczyny był wyrazisty, śmiały, niemal surowy. Długie czarne rzęsy skrywały jej oczy. Nosiała obcisłą, dopasowaną bluzkę z materiału przypominającego welwet. Rozdarta z boku ukazywała skórę jeszcze bardziej złotą, aniżeli na jej

twarży. Naszyjnik ze srebrnych ozdób i turkusowo-białych paciorków otaczał szyję Indianki, unosił się łagodnie w górę i opadał wraz z falowaniem bujnego biustu. Spódnica dziewczyny była jaskrawej barwy, z nadrukowanymi wzorami, podarta, poplamiona i zakurzona. Jej małe stopy zakrywały jasnobrązowe mokasyny¹, pasujące jak rękawiczki i nad kostkami zapięte na srebrne monety.

– Co to był za mężczyzna? Czy cię skrzywdził? – zapytał Shefford, obracając się i kierując wzrok w dół doliny, gdzie na nagim piasku widniał poruszający się czarny kształt.

– Nie wiem – odparła Indianka.

– Gdzie jest handlarz Presbrey? – zapytał Shefford.

Wskazała prosto w dolną część czerwonej doliny.

– Toh² – powiedziała.

Na środku niecki jeziora znajdowała się mała sadzawka wody błyszczącej jasno w blasku zachodzącego słońca. Wokół niej poruszały się małe sylwetki, tak drobne, że Shefford uznał, że widzi kilka psów prowadzonych przez dziecko. Odległość myliła go jednak. Jakiś mężczyzna poił tam bowiem konie. Przypomniało to mu o obowiązku, jaki miał wobec swego zmęczonego i spragnionego zwierzęcia. Dlatego odwiązał swój pakunek, zdjął siodło i miał już odejść, kiedy indiańska dziewczyna wzięła wodze z jego ręki.

– Ja iść – powiedziała.

Dojrzał wówczas jej oczy, przez co wyglądała teraz zupełnie inaczej. Były równie czarne, co włosy Indianki. Shefford nie potrafił się zdecydować, czy uważa ją za ładną, czy nie.

– Dziękuję, ale to ja pójdę – odparł i odebrawszy wodze, ruszył w dół zbocza. Przy każdym kroku zapadał się głęboki, drobny piasek. W dole dróżki natrafił na stos blaszanych puszek; były wszędzie, zagrzebane w całości, częściowo, leżące na wierzchu; wskazywały one, czym żywił się handlarz. Shefford przekonał się teraz, że in-

¹ *Mokasyny* – buty indiańskie, robione z miękkiej skóry jelenia, łosia, bizona, na wyżynach południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych miały twardą zelowkę z niewyprawionej skóry i miękką cholewkę.

² *Toh* – w obecnej pisowni *tó*, w języku nawaho woda, zbiornik wody.

diańska dziewczyna idzie za nim prowadząc swego kuca. Spojrzawszy na nią od dołu, pod światło, uznał ją za szczupłą, zgrabną, malowniczą. Z odległości mu się podobała.

Brnął dalej, aż wreszcie z radością wy dostał się z nawiewanego piasku na twarde, równe dno doliny. Także je tworzył piasek, ale wyschnięty, spieczony na twardo i czerwonej barwy. W niektórych porach roku ową rozległą płaską przestrzeń musiała pokrywać woda. Jakże była szeroka i pusta! Shefford doznał ponownie uczucia, będącego dlań czymś nowym – że jest swobodny, wolny, niezakotwiczony, gotowy do ulecenia z wiatrem. U podnóża stoku odniósł wrażenie, że dziura z wodą znajduje się w dolinie kilkaset prętów¹ dalej. Małe rozmiary postaci wzbudziły wszakże jego wątpliwości; musiał po wielekroć przebyć kilkaset prętów, zanim figurki te zaczęły rosnać. Następnie rozpoznał, że zbliżają się do niego.

Później wzrosły prędko do normalnych rozmiarów człowieka i zwierzęcia. Kiedy Shefford znalazł się przy nich, zobaczył prowadzącego dwa kuce potężnego, młodego mężczyznę o ciężkiej budowie.

– Czy pan Presbrey, handlarz? – zapytał Shefford.

– Tak, jestem Presbrey, bez pana – odparł mężczyzna.

– Moje nazwisko Shefford. Wałęsam się po pustyni. Przyjechałem dzisiaj spoza Tuby.

– Rad was widzę – powiedział Presbrey i podał mu rękę.

Był roslym mężczyzną, odzianym w szarą koszulę, spodnie robocze i ciężkie buty. Strzecha opadających jasnych włosów pokrywała jego potężną głowę; był ogorzały, ale nie na ciemno, z czerwonymi plamami na policzkach; pod krzaczastymi brwiami widniały głęboko osadzone, bystre oczy; usta miał twarde i zaciśnięte, jakby rzadko miały sposobność uśmiechać się czy mówić, zaś wielka, mocna szczęka wyglądała na stale zamkniętą.

– Chciałbym, żeby więcej podróżnych wałęsało się wokół Red Lake – dodał. – Pewnikiem jest ono tutaj punktem wyjścia.

¹ *Pręt* – dawna miara długości, pręt polski miał 15 stóp, czyli około 4,32 metra, a pręt angielski (*rod*) 16,5 stopy, czyli około 5,03 metra; odległość między dawną placówką handlową a jeziorem wynosiła około 2 km, czyli około 400 prętów.

– To miejsce raczej... samotne – powiedział Shefford z wahaniem, jakby brakowało mu słów.

Wówczas podeszła dziewczyna. Presbrey zwrócił się do niej w języku indiańskim, którego Shefford nie rozumiał. Wyglądała na nieśmiałą i nie odpowiadała; stała z opuszczoną twarzą i wzrokiem. Presbrey odezwał się ponownie, a wtedy wskazała w dół doliny, a potem wraz z kucem wyruszyła w stronę sadzawki.

Bystre oczy Presbreya skupiły się na czarnej kropce niknącej daleko w dole tego owalnego przestworu.

– Tamten człek odjechał... dość nagle – powiedział powstrzymując się Shefford. – Kim on był?

– Zwie się Willetts. Jest misjonarzem. Przyjechał dzisiaj z tą dziewczyną Nawaho¹. Zabierał ją do Blue Canyon², gdzie mieszka i nawraca Indian. Spotkałem się z nim zaledwie kilka razy. Widzicie, niewielu białych tędy przeciąga. Jest pierwszym białym mężczyzną, jakiego widziałem od sześciu miesięcy, a wy jesteście drugim. Dwaj tego samego dnia...! Red Lake staje się popularne! To jednak dziwne, że wyjechał. Miał tu zostać na noc. Nie może w żadnym innym miejscu. Blue Canyon jest pięćdziesiąt mil stąd.

– Z przykrością powiem... nie, bez żadnej przykrości... ale muszę wam rzec, że to przeze mnie pan Willetts wyjechał – przyznał się Shefford.

– Jak to? – zapytał Presbrey.

Wówczas Shefford opowiedział o wydarzeniu, jakie nastąpiło po jego przybyciu.

– Może zbyt pospieszyłem się z działaniem – zakończył przeproszająco. – Nie myślałem wtedy. W istocie sam siebie zaskoczyłem.

¹ *Nawaho* (ang. *Navajo*) – plemię indiańskie występujące w stanach Arizona, Nowy Meksyk i Utah, od kontaktów z Hiszpanami osiadłe, zajmujące się rolnictwem i hodowlą owiec, po roku 1849 ich ziemie zajęły Stany Zjednoczone; po szeregu walk został zmuszone do życia w rezerwach, w tym w ogromnym (ok. 70 tys. km²) Navajo Nation na pograniczu Arizony, Utah i Nowego Meksyku; obecnie jest ich około 300 tys.

² *Blue Canyon* – kanion leżący około 20 km na południe od Red Lake, część doliny Moenkopi Wash.

Presbrey zupełnie nie zareagował, a jego twarz była równie nie-
możliwa do odczytania, co lico jednego z odległych urwisk.

– Jakie były zamiary tego człowieka? – zapytał Shefford, świadom
lekkiego pałania jego policzków. – Jestem tu obcy. Nic nie wiem o In-
dianach i jak się z nimi postępuje. Nie jestem jednak głupi... Jeśli
nawet Willetts nie chciał zrobić nic złego, to był co najmniej brutalny.

– Nawracał na swoją religię – odrzekł Presbrey. Ton jego głosu
wskazywał na cień kpiny i na żart, ale wyraz twarzy nie zmienił się
ani odrobinę.

Nie pojmując zupełnie dlaczego Shefford poczuł, że jego przekonanie jest zasadne, a działanie było słuszne. Następnie uświadomił so-
bie lekki wstrząs wywołany zdumieniem i odrazą.

– Jestem... byłem pastorem głoszącym Ewangelię – powiedział
Presbreyowi. – Wasz domysł wydaje mi się wykluczony. Nie mogę
w to uwierzyć.

– Niczego się nie domyślam – odparł handlarz wprost i było jasne,
że jest człowiekiem szczerym, choć niechętnym do mówienia. – Shef-
ford, jesteście więc kaznodzieją...? Czy przybyliście tutaj, aby pró-
bować nawracać Indian?

– Nie. Powiedziałem, że BYŁEM pastorem. Już nim nie jestem.
Jestem tylko... wędrowcem.

– Rozumiem. No, pustynia nie jest dobrym miejscem dla misjo-
narzy, ale dla wędrowców tak... Napójcie swego konia i zabierzcie
go do *corralu*. Znajdzie się dla niego siano. Przygotuję coś do żarcia.

Shefford poszedł z koniem do sadzawki. Woda okazała się gęsta,
zielona, mętna, a wokół zarysu stawu widniała linia skraju skorupy
wyschniętej soli. Spragniony koń wszedł z pluskiem do wody i chci-
wie pochylił głowę. Smak mu się jednak nie spodobał. Po wielokroć
cofał się przed pić, ale za każdym razem znowu opuszczał pysk.
Wreszcie się napił, choć nie do pełna. Shefford widział, jak dziew-
czyna piła z dłoni, Zaczerpnął ręką wodę i przekonał się, że jest zbyt
kwaśna, aby ją przełknąć. Kiedy się odwrócił, żeby odjechać, Indianka
dosiadła kuca i ruszyła za nim.

Złocista łuna jaśniała na zachodnim niebie, na jej tle placówka
handlowa widniała jako ciemna i samotna sylwetka. Powracający Shef-

ford wyczuł, że zrywa się wiatr, który go ochłodził. Kiedy dotarł do zbocza, cienkie, szare smugi piasku wznosiły się tam nisko, wzbijały, siekły, opadały, przesuwaly się z miękkim, jedwabistym szelestem. Te szare płachty czasami przesłaniały mu buty. Wspinaczka po tym osypującym się, wstrzymującym kroki wzniesieniu była długa i ciężka, a był już wcześniej okulawiony i zmęczony. Kiedy zostawił konia, zmrok panował już wszędzie, jedynie nie na zachodzie. Indiańska dziewczyna umieściła swego kuca w *corralu* i niby cień ruszyła w stronę domu.

Shefford z trudem odnalazł dół schodów. Wszedł po nich na wielkie poddasze, oświetlone dwiema lampami. Presbrey był tam, ugniatając w rondlu ciasto.

– Rozgośćcie się wygodnie – powiedział.

Ogromny strych miał kształt połowy ośmioboku. Prowadzące do niego drzwi były od strony doliny, podobnie jak i okna. Jakie zachęcająco wyglądało to miejsce w porównaniu z wrażeniem, jakie sprawiało z zewnątrz! Meble składały się z indiańskich derek na podłodze, dwóch łóżek, biurka i stołu, kilku krzesel i kanapy, stojaka na broń pełnego strzelb, wiszących na ścianach niezliczonych ilości ozdabianych srebrem pasów, uzd i innych wyrobów indiańskich oraz z pieca w kącie, gdzie na płonących drwach wypuszczał parę czajnik i kredensu o półkach wypełnionych jedzeniem w puszkach.

Shefford oparł się o framugę i wyjrzał na zewnątrz. Pod nim na zwoju koców siedziała indiańska dziewczyna, milcząca i nieruchoma. Zastanawiał się, o czym myśli, co robi, jak potraktuje ją handlarz. Zbocze było teraz długą pochyłością poruszających się cieni smug piasku. W dolinie zbierał się zmrok. Dalej majaczyły urwiste ściany. W górze migotała blada gwiazda. Shefford uświadomił sobie nagle wielkie natężenie ciszy wokół niego. Kiedy jednak wstuchał się w owe milczenie, dobiegło go przerywane i bezmiernie ciche jęczenie, niespokojne, żałobne szemranie. Niewątpliwie był to jedynie wiatr. Mimo to mroziło mu to krew. Wiatr ten różnił się tego, który grał pod okapem jego domu w Illinois. Był samotny, nawiedzający, przynoszący głód pustyni i coś więcej, czego nie potrafił nazwać. Shefford słuchał tego dręczącego ducha dźwięku i patrzył, jak dolinę

otula noc. Jakże czarnym, jakże grubym płaszczem! Nie dawał on jednak kojącego wrażenia ochrony dawanej przez jego ciasno zawijające poły, ścian zapewniających łagodny sen, domu. Zamiast tego przynosił poczucie przestrzeni, pustki, bezkresnego ogromu poniżej, gdzie złowróźbny wiatr miotał potokami szemrzącego piasku.

– No, jadło prawie gotowe – powiedział Presbrey.

– Czy macie wodę? – zapytał Shefford.

– Jasne. Tam w wiadrze. To deszczówka. Mam tu cysternę.

Spiezchnięta i pokryta pęcherzami twarz Shefforda poczuła się lepiej, kiedy zmył z niej piasek i alkaliczny kurz.

– Przebywając na pustyni lepiej nie myć za często twarzy. To zły pomysł – dodał Presbrey zauważwszy, jak ostrożnie jego gość dokonuje owych ablucji. – No, podejdźcie i zjedźcie.

Shefford zauważył, że handlarz, choć żył samotnie, to odżywiał się dobrze. Na stole znalazło się więcej jedzenia, niż wystarczyłoby dla dwóch par ludzi. Po raz pierwszy od czterech dni siedział przy stole i nadrabiał teraz brak takiej możliwości.

Działania jego gospodarza wskazywały, że odczuwa przyjemność, lecz dziwna, twarda twarz nie odprężyła się ani na chwilę, nie podległa zmianie. Po skończonym posiłku Presbrey odrzucił propozycję pomocy, zadbał szczerze o Indiankę, która, jak powiedział, ma na dole miejsce do jedzenia i spania, a potem z umiejętnością i sprawnością doskonałej gospodyni sprzątnął ze stołu. Po tej pracy nabił fajkę i wyraźnie nastawił się na słuchanie.

Zaledwie jedno pytanie przekonało Shefforda, że handlarz łaknął chciwie wieści ze świata zewnętrznego i przez godzinę zaspokajał ten jego apetyt, chociaż był wykończony. Kiedy tak wypowiedział się do cna, zauważył, że Presbrey jest kimś więcej, aniżeli dobrym słuchaczem.

– Jakeście tu przybyli? – zapytał w końcu handlarz.

– Przez Flagstaff – z pokonaniem Little Colorado – i przez Moenkopi¹.

¹ *Little Colorado* – rzeka w Stanach Zjednoczonych, w północnej Arizonie, dł. 544 km, płynie mniej więcej na północny zachód, wpada do Kolorado w Wielkim Kanionie, wzdłuż jej prawego brzegu ciągnie się Painted Desert (Pustynia Pstra); płynie około 50 km na wschód od Flagstaff; *Moenkopi* – u Z. Grey'a: Moencopie,

- Czy zatrzymaliście się w Moen Ave¹?
- Nie. Co to za miejsce?
- Mieszka tam misjonarz. Czy zatrzymaliście się w Tubie?
- Tylko na czas napicia się i napojenia konia. Jest tam cudowne źródło na pustyni.
- Powiedzieliście, że jesteście wędrowcem... Czy szukacie pracy? Mogę ją wam dać.
- Nie, dziękuję wam, Presbrey.
- Widziałem wasz pakunek. Nie nadaje się do podróżowania w tym kraju. Także wasz koń nie przetrwa. Czy macie jakieś pieniądze?
- Tak, mnóstwo pieniędzy.
- No, to dobrze. Chociaż żaden biały tutaj nigdy nie weźmie od was choćby dolara. Możecie jednak kupować rzeczy od Indian. A właśnie, dokąd zmierzacie?

Shefford zawahał się, rozważając w myślach, czy ma powiedzieć o swoim celu, czy nie. Gospodarz nie naciskał na odpowiedź na to pytanie.

– Rozumiem. Po prostu wałęsanie się i wędrowanie – ciągnął Presbrey. – Potrafię pojąć, jak pustynia was pociąga. Kaznodzieje wiodą łatwe, bezpieczne życie pośród ludzi i ograniczeń. Zamykają się w kościele z Biblią i z dobrymi ludźmi. Kiedy raz w życiu urywają się na swobodę, to zaczynają robić szalone rzeczy.

– Tak, robię je, bez żadnych ograniczeń – odparł ze smutkiem Shefford. Przez chwilę zdawał się pogrążyć we wspomnieniach, nieświadom bystrogo i współczującego wzroku handlarza, a potem przyłapał się na tym. – Chcę doświadczyć odrobiny dzikiego życia. Czy znacie tereny na północ stąd?

– Jedynie z tego, co mówili mi Nawahowie, a nie mówią za wiele. Na północ stąd wiedzie szlak, ale nigdy go nie przemierzałem. To nowy szlak, jak każdy, którym chodzą Indianie, gdyż wiatr zasypuje tutaj

mała osada w północnej Arizonie, 4 km na południe od Tuba City, założona przez Indian Hopi w roku 1870, zajmuje szeroką dolinę, obecnie ma 1000 mieszkańców, niemal wyłącznie Indian.

¹ *Moen Ave* – obecna (od roku 1971) pisownia Moenave, mała osada leżąca około 10 km na zachód od Tuba City, w dolinie Hamblin Wash, także nazwa kanionu.

i ukrywa stare. Paru Nawaho pojechało jednak na północ. Handlując głównie z Indianami z górnej i dolnej części tej doliny.

– Co z wodą i trawą tam?

– Mieliliśmy tu deszcze i śniegi. Na pewno jest woda. Nic nie wiem o trawie, choć owce i kuce z północy są zawsze tłuste... Powiem wam jednak, Shefford, jeśli wybaczycie mi udzielanie rad: nie wybierajcie się na północ.

– Dlaczego? – zapytał Shefford, i na pewno przeszedł go dreszcz.

– To kraj nieznan, okropnie nierówny, jak możecie stąd dostrzec, a w tamtym kanionie kryją się źli Indianie. Nigdy nie spotkałem człowieka, który by był poza przełęczą leżącą pomiędzy tym miejscem a Kayentą¹. Podróżowano nią, musi więc istnieć jakiś szlak. Podróż taka jest jednak niebezpieczna dla każdego, a co dopiero dla żółto-dzioba. Nie macie nawet broni.

– Co to za miejsce, ta Kayenta? – zapytał Shefford.

– To źródło. Kayenta znaczy Bezdenne Źródło². Jest tam mała placówka handlowa, ostatnia i najbardziej dzika w północnej Arizonie. Withers³, prowadzący ją kupiec, swoje towary sprowadza z Colorado i Nowego Meksyku. Nigdy nie przybył tutaj. Nigdy go nie widziałem. Nic o nim nie wiem, oprócz pogłosek. Pewnikiem ma stalowe nerwy i siły, skoro prowadzi tę placówkę. Jeśli chcecie tam pojechać, to najlepiej przez Keams Canyon, a potem wokół podnóża Black Mesa⁴. Taka jazda będzie długa – zajmie może z dwieście mil.

¹ *Kayenta* – małe miasto w północno-wschodniej Arizonie, na wysokości 1740 m n.p.m., na terenie rezerwatu Navajo Nation, około 80 km na północny wschód od Red Lake, obecnie ma ok. 5 tys. mieszkańców, niemal wyłącznie Indian Nawaho, popularne miejsce wyruszania do leżącej 40 km dalej Monument Valley.

² *Bezdenne Źródło* – nazwa Kayenta pochodzi z wcześniejszego Tye-nde w języku nawaho, współcześnie brzmi *Tó Dinéeshzhee'*, gdzie *tó* znaczy „woda”, a *dinée-shzhee'* znaczy „rozchodzić się, rozplýwać”.

³ *Withers* – w roku 1913, kiedy Kayentę odwiedził Zane Grey, była tam jedynie placówka handlowa prowadzona przez Johna Wetherilla wraz z jego żoną Louisą.

⁴ *Keams Canyon* – mała (około 300 mieszkańców, prawie wyłącznie Indian Nawaho i Hopi) osada w północno-wschodniej Arizonie, założona przez braci Keams, którzy w końcu XIX wieku prowadzili tam placówkę handlową, leży około 80 km na południowy wschód od Red Lake i 100 km na południe od Kayenty, wskazana droga jest okrężna; *Black Mesa* – płaskowyż, część Colorado Plateau, bezpośrednio na południe od Kayenty, na wschód od Red Lake, o najwyższej wysokości 2490 m n.p.m.

– Jak daleko jest prosto na północ przez kanion?

– Nie potrafię powiedzieć. Ponad siedemdziesiąt pięć mil ciężką drogą, jeśli w ogóle są jakieś drogi... Słyszałem pogłoski o mieszkającym tam całym plemieniu Nawaho, mającym pełno owiec i koni. Może być to prawda, a może nie być. Wiem jednak o złych Indianach, półkrwi i wyrzutkach, którzy się tam ukrywają. Niektórzy odwiedzali mnie tutaj. Niedobrzy nabywcy! Na dobitkę przejedziecie niedaleko granicy Utah, a tamtejsi mormoni¹ są obecnie nieprzyjaźni.

– Dlaczego? – zapytał Shefford, powodowany ponownie żarliwą ciekawością.

– Są prześladowani² przez rząd.

Shefford nie zadał więcej pytań, a jego gospodarz nie raczył przekazać mu więcej wiadomości na ten temat. Rozmowa się rwała. Potem przybysz zainteresował się indiańską dziewczyną i dowiedział się, że mieszka gdzieś w górze doliny. Presbrey nigdy jej nie widział, zanim Willetts nie przybył z nią do Red Lake. Przy tej okazji okazało się, że Presbrey nad Red Lake i w okolicach przebywał od dość niedawna. Shefford zastanawiał się, dlaczego spędzone przez handlarza w samotności sześciu miesięcy nie wzbogaciło go o większą wiedzę. Zapewne pustynia nie tak łatwo odkrywała swe tajemnice. Ponadto ten dom nad Red Lake był używany przez Presbreya tylko niekiedy, gdyż główna jego placówka handlowa znajdowała się w Willow Springs³, leżącym po drugiej stronie *mesy*⁴ pięćdziesiąt mil na zachód.

¹ *Mormoni* – wspólnota religijna założona w roku 1830 w USA przez Josepha Smitha; mają doktrynę złożoną z wątków chrześcijańskich, judaistycznych i objawień zawartych w rzekomo starożytnej *Księdze Mormona*; obecnie są zrzeszeni w Kościele Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich; najliczniejsi w USA (Utah), z główną świątynią w Salt Lake City; jest ich około 16 milionów.

² *Prześladowani* – spory dotyczyły głównie wielożenstwa mormonów i ich dążeń do niezależności od władzy federalnej, nasiliły się po śmierci przywódcy Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich w roku 1877, w 1878 sąd najwyższy Stanów Zjednoczonych uznał wyższość zakazu poligamii nad nakazami religijnymi i władze zaczęły ten zakaz wymuszać.

³ *Willow Springs* – mała osada w północnej Arizonie, leżąca około 15 km na północny zachód od Tuby, Red Lake i 50 km na południowy zachód od Red Lake; 50 mil liczy droga między tymi miejscami.

⁴ *Mesa* – chodzi o Preston Mesa leżącą na wschód od doliny Little Colorado.

– Niedługo na krótko zamykam to miejsce – powiedział Presbrey, a jego twarz utraciła twardość rysów i podległa osobliwej zmianie. Nabrała odmiennego światła i miękkości. – W Willow Springs nie będę już taki samotny... Wkrótce się ożenię.

– To wspaniale – odparł serdecznie Shefford. Cieszył się szczęściem tego samotnego człowieka pustyni. Ileż dobra w życie handlarza wzniesie żona!

Naiwne wyznanie Presbreya oderwało go jednakże od obecnej rzeczywistości, a jego otulona dymem potężna głowa zatonięła w marzeniach.

Shefford uszanował to głębokie zamyślenie się jego gospodarza. Był w istocie wdzięczny za zapadłe milczenie. W rzadko który wieczór przeszłość wdzieriała się tak mocno w terażniejszość. Rana jego duszy nie zagoiła się jeszcze, a mówienie o sobie otwierało ją na nowo. Pamięć była zbyt paląca, przeszłość zbyt bliska; pragnął o niej zapomnieć, dopóki nie wędruje się z trudem w serce tego zakazanego pustkowia – dopóki nie upłynie czas i nie odważy się stawić czoła swej niespokojnej duszy. Wsłuchał się następnie w narastające ciągle wycie wiatru. Jakże było obce i puste! Wiatr ten niósł ciężki piasek, słyszał, jak miotał nim, miotał i miotał w podmuchach, a potem tępy, stałym szturmem uderzał w ściany. Odgłosy te skłaniały do myślenia. Owe jęczenie i napieranie wichury nie było snem – jego własna obecność w owym otulonym nocą i obleganym przez piasek domu na samotnej pustyni była czymś rzeczywistym – owa przygoda nie była wymysłem. Prawdziwa musi więc być dzika, dziwaczna opowieść, która sprowadziła go tutaj. Przybył, aby szukać, dążyć, odnaleźć. Gdzieś na północ stąd w rozwalonych warowniach gór leżała ukryta dolina, odgradzona ścianami od świata. Czy są w niej owi zaginięni zbiegowie, opowieść o których tak nim wstrząsnęła? Czy po dwunastu latach żyje jeszcze dziecko, z którego w samotności pięknego kanionu wyrosła kobieta? Niewiarygodne! Mimo to wierzył w opowieść przyjaciela i wiedział zaiste, jakże dziwne i tragiczne bywa życie. Wyobrażał sobie, że w napierającym wietrze słyszy głos tej kobiety. Wzywała go, prześladowała. Przyznawał, że jej istnienie jest czymś

nieprawdopodobnym, lecz wbrew temu nie tracił ani trochę upartej, nieuchwytniej nadziei, która go napędzała. Uważał się za człowieka ugodzonego w duszę, niegodnego, wskutek zwątpienia w Boga, do bycia kapłanem ludzi, którzy go odrzucili. Może praca Herkulesa¹, ogromne i niebezpieczne działania ratownicze, uratowanie owej zaginionej i uwięzionej dziewczyny pomoże mu w pozbyciu się kłopotów. Może okaże się ona jego wybawieniem. Kto wie? Jako chłopiec i jako mężczyzna dążył zawsze do poszukiwania skarbu² ukrytego u stóp tęczy.



¹ *Praca Herkulesa* – w mitologii greckiej heros Herkules (Herakles) miał do wykonania dwanaście nadludzkich prac, zadań.

² *Skarb* – według legend irlandzkich, przejętych przez Anglosasów, tęcze wiodą do garnków ze złotem zakopanych w miejscu, gdzie koniec tęczy styka się z ziemią.

Rozdział II

Sagi

Następnego ranka indiańskiej dziewczyny nie było, a ślady jej kuca kierowały się na północ. Pierwszą myślą Shefforda było zastanowienie się, czy dogoni ją na szlaku; zaskoczyło go jako dowód, że podświadomie podjął decyzję o wyruszeniu za nią.

Presbrey nie próbował więcej skłaniać go do zawrócenia. Nalegał jednak na wypełnienie sakw Shefforda i zabranie przez niego broni. Jego gość zgodził się w końcu wziąć rewolwer. Handlarz pożegnał go i stał w drzwiach, kiedy Shefford prowadził swego konia w dół zbocza, do sadzawki. Wierzył być może, że przygląda się odjazdowi człowieka, który nigdy już nie wróci. Stał nadal przy drzwiach, kiedy Shefford zatrzymał się przy stawie.

Na płaskim dnie doliny leżały cienkie płaty śniegu, który spadł w nocy. Powietrze było przejmująco zimne, ale swymi ukąszeniami pobudzało Shefforda. Jego koń pił dość powoli i z obrzydzeniem. Następnie Shefforda dosiadł go i niechętnie odwrócił się plecami do siedziby handlarza.

Odjeżdżając od sadzawki zobaczył nadciągające duże stado owiec. Było bardzo skupione, a nawet mocno zwarte w potężną, powoli poruszającą się masę, która zbliżała się w niemal wojskowym szyku. Zdumiało to Shefforda, gdyż nie dostrzegał nigdzie Indian. W końcu dojrzał prowadzące stado psa, a po chwili zauważył innego, znajdującego się za owcami. Były to wspaniałe zwierzęta o długiej sierści, wyglądające na dziczące owczarki. Zatrzymał konia, aby przyglądać się przeciągającej procesji. Stado zajmowało cały akr¹ gruntu, a owce były czarne, białe i brązowe. Mijały go z cichym tupotaniem

¹ *Akr* – anglosaska jednostka powierzchni, jaką zaprzęg wołów mógł zorać w jeden dzień, obecnie wynosi około 0,4 hektara.

kopytek na twardym, spieczonym piasku. Psy prowadziły owce ku wodzie.

Shefford pojechał dalej i zbliżał się do drugiego brzegu sadzawki, gdzie płaski, czerwony teren przerywały narastające wydmy i wzniesienia, kiedy wypatrzył tabun kuców. Ostry gwizd wskazał mu, że został przez nie dostrzeżony. Były dzikie, kudłate, o długich grzywach i ogonach. Zatrzymały się, podrzucały łbami i przyglądały się Sheffordowi. Ten również patrzył na nie. Nie było z nimi żadnych Indian. Wreszcie prowadzący je koń, który okazał się ogierem, ruszył klusem za kucami, jakby poganiając, i okrążył cały tabun, aby znowu znaleźć się na jego czele. Prowadził go do wody, tak samo, jak psy prowadziły owce.

Wydarzenia te były dla Shefforda nowe i cieszące. Jakże mało wiedział o tych pustkowiach! Raz jeszcze otrzymał drobne wskazówki tego, czego może się nauczyć na otwartych przestrzeniach i z mniej obciążonym sercem patrzył na bramę między wielkimi żółtymi urwiskami z jego lewej strony, a terenem wznoszącym się powoli ku czarnej *mesie* z prawej. Obejrzał się w porę, aby zobaczyć, jak siedziba handlarza, słabo widoczna i samotna na nagim zboczu, znika poza urwiskami. Shefford nie odczuwał lęku – naprawdę mało doświadczył w życiu strachu fizycznego – ale na pewno zaciskał zęby na powitanie wszystkiego, co mogło go spotkać. Wiódł dotąd ograniczone, chronione życie, poświęcając myśli sprawom duchowym, a jego rodzina, współwyznawcy i znajomi – z wyjątkiem jednego nowego przyjaciela, którego opowieść go oczarowała – byli ludźmi o spokojnych, religijnych nawykach. Kryjący się w nim głęboko męczyzna nie miał nigdy szans, żeby się obudzić. Oddychał ciężko próbując wyobrazić sobie świat, który się przed nim otwierał, niemal ośmielał się na radość, gdyż odchodziły od niego wcześniejsze wątpliwości.

Ślady kuca indiańskiej dziewczyny widniały wyraźnie na piasku. Były także inne, trudniej widoczne, pozostawione poprzedniego dnia, jak uznał Shefford, przez Willettsa i Indiankę. Wspinał się na grzbiet wzniesienia z piasku w połowie sypkiego, w połowie twardego, i prosto przed sobą ujrzał wzbijające się zadziwiające kształty, dwa wielkie

żółte i strome wzgórza, przypominające nogi słonia¹. Przejechał między nimi, zdumiony ich wysokością. Dalej rozciągnęła się przed nim powoli opadająca dolina², z jednej strony ograniczona przez czarną *mesę*, a z drugiej niskimi urwiskami. Przez całe mile porastała ją ciemnozielone gęstwiny³. Shefford mógł widzieć, gdzie zieleni ta rzadnie i błednie, ustępując miejsce piaskowi. Pobudził swego konia do kłusu i ten odcinek przejechał szybko.

Dzień okazał się zupełnie inny od wszystkich, jakie dotychczas doświadczył. Szare chmury rzuciły ciemne cienie na skaliste ściany⁴ widniejące kilka mil na zachód od niego. Shefford widział też kłęby śniegu opadające i rozchodzące się niby ogromne firany. Wiatr ciął z ostrością noża. Shefford przemarzył wkrótce do szpiku kości. Śnieżyca ogarnęła go z wyciem, a przynoszący białe grudki śniegu, niby kulki gradu wiatr był tak przenikająco i dojmująco zimny, że wczesniejszy w porównaniu z nim wydawał się ciepły. Śnieżyca ta przeszła równie szybko, co nadciągnęła, zostawiając Shefforda tak odrętwiałego, że nie był w stanie trzymać wodzy. Zsunął się niezdarne z konia i szedł pieszo. Słońce powoli wychylało się spoza chmur, wkrótce ogrzało go i stopiło leżącą na piasku cienką warstwę śniegu. Posuwał się nadal po śladach indiańskiej dziewczyny, ale teraz widział jedynie jej tropy.

Przez cały ranek wspinał się stopniowo, mając ograniczoną widoczność, aż wreszcie osiągnął miejsce, z którego przed jego oczyma rozciągał się kraj otwarty z wszystkich stron, z wyjątkiem północnej,

¹ *Nogi słonia* – nazwę tę (ang. Elephant Feet) noszą dwa samotne, wysokie ostańce z podległego erozji piaskowca, znajdujące się ponad kilometr na północny wschód od Red Lake, przy wiodącym do Kayunty Navajo Trail (Szlak Nawahów), który Zane Grey przemierzał w roku 1911 i 1913.

² *Dolina* – Begashibito Wash, duży, szeroki kanion w hrabstwie Coconino w północno-wschodniej Arizonie, biegnący niemal południkowo wzdłuż zachodniej krawędzi Black Mesa.

³ *Gęstwiny* – w oryginale *greasewood*, ogólna nazwa niskiej roślinności na suchych i wyżynnych terenach zachodniej części Stanów Zjednoczonych, główne gatunki to krzewy *Baccharis sarothroidesi* o jasnozielonych liściach i kolczaste krzewy *Glossopetalon spinescens*.

⁴ *Skaliste ściany* – południowe krawędzie płaskowyżu White Mesa, na zachód od Begashibito Wash.

gdzie wznosiła się ciągnąca się w nieskończoność czarna *mesa*. Skalisty, żółty szczyt górował nad krajobrazem przed Sheffordem, ale był bardzo daleki. Czerwony i nierówny teren sięgał na zachodzie do ogromnej ściany szarej skały o płaskim wierzchołku. Obniżające się szybko chmury płynęły po niebie, niby zwisające peleryny, przesłaniały słońce. Shefford rozniecił małe ognisko z zeschniętych gałązek krzewów i z zarzuconym na ramiona kocem pochylał się nad płomieniami, niemal przypalając sobie ubranie i ręce. Spotykał się już w życiu z zimnem, ale nigdy przedtem nie doceniał tak ognia. Przenikała go pustynna wichura, ogarnęła śnieżycą, gęstsza, mroźniejsza i bardziej wietrzna, aniżeli inne, ale lepiej przeciw niej osłonięty, nie cierpiał tak bardzo. Ryczała odchodząc, ukrywając *mesę* i zostawiając po sobie białą pustynię. Shefford ruszył dalej pieszo, prowadząc konia, aż ruch i słońce raz jeszcze go rozgrzały.

Ta ostatnia śnieżycą utrudniła podążanie tropami indiańskiej dziewczyny. Śnieg nie topniał szybko, a ponadto kłopoty sprawiały Sheffordowi ślady owiec i koni, aż w końcu musiał uznać, że dłużej nie jest w stanie tropić Indianki. Słabo widoczna ścieżka czy dróżka wiodła jednak na północ i posuwając się nią szybko zapomniał o dziewczynie. Każde pokonywane pasmo wzniesień kryło dlań niespodziankę. Pustynia zdawała się zawsze pozostawać niezmienna w swej otaczającej go ogromnej rozciągłości, lecz postrzegana z bliska zmieniała się nieustannie. Z Red Lake widział krainę ze szczytami, ścianami i kanionami, równie nierówną, co morze w sztormie; kiedy jednak wjechał w nią, ostre i porozrywane krajobrazy trzymały się stale w oddali.

Ucieszył się, kiedy opuścił piaski. Długie, wąskie i płaskie połacie terenu, szare od trawy i z cętkami skupisk zarośli, okolone niskimi, nagimi pasmami żółtych skał, ciągnęły się przed nim w stronę żółtego szczytu¹, który zdawał się nadal niemożliwy do osiągnięcia.

Umysł Shefforda zawierał obrazy skalistych ścian, dzikich dolin i kopulastych wzniesień, barwnymi i żywymi słowami odmalowy-

¹ *Żółty szczyt* – południowa część płaskowyżu Shonto Plateau, pomiędzy Begashibito Wash, a odchodzącą od tego kanionu na wschód doliną Kletha, którą prowadzi Navajo Trail.

wanych mu przez przyjaciela, Ventersa. Wierzył, że rozpozna wyraziste i rzucające się w oczy szczegóły krajobrazu, których portret przedstawił mu Venters i był pewny, że jak na razie nie natrafił na żaden z nich. Odbywał drugi dzień samotnej podróży i stawał się coraz bardziej podatny na wpływy horyzontu oraz różnych wyróżniających się miejsc. Stopniowo zachodzące zmiany w uczuciach przypisywał samotności i narastającej dzikości kraju. Pomiędzy Tubą i Flagstaffem napotykał Indian, a niekiedy także poszukiwaczy rud i woźniców. Tutaj był tylko on, a chociaż czerpał z tego jakąś dziwną radość, to różnicę postrzegał wyraźnie.

Jechał przez cały szary, pochmurny, zimny dzień, a pod wieczór chmury rozpuściły się na zachodzie, zaś opadające słońce załśniło w tym rozdarciu, zalewając pustynię czerwonym i złotym blaskiem. Wrodzona u Shefforda, lecz przytłumiona miłość do piękna przyrody doznała ożywienia, a chwila jej odrodzenia była pełna melancholii i błogości. Na pracę artystyczną było już za późno, lecz nie dla jego duszy!

Kiedy nadeszła pora na rozbięcie obozu, zatrzymał się przy skupisku niskich skał, które niby wyspa leżało na morzu traw. Było tam mnóstwo zeszlętych łodyg na ognisko, a po poszukiwaniach wśród skał znalazł w ich zagłębieniach małe kałuże ze stopionego śniegu. Zdjął z konia siodło i sakwę, napoił go i spętawszy najlepiej, jak potrafił przy swym braku doświadczenia, puścił luźno na trawy.

Kiedy następnie Shefford rozpalał ognisko i przygotowywał posiłek, ogarnęła go noc. Skały dobrze osłaniały go przed wiatrem, lecz powietrze było przejmująco zimne. Zebrał w okolicy wszystkie zeszlęte łodygi, podsycił ogień i owinał się kocem, zwrócony plecami do płomieni. Samotność i kojoty¹ nie dręczyły go owej nocy. Był na to zbyt zmęczony i zmarznięty. Zasnął od razu i obudził się dopiero, kiedy ognisko zgasło. Rozpalił je i zasnął znowu. Przez całą noc potarzał to co pół godziny i ucieszył się, kiedy nadszedł świt.

Dzień ten rozpoczęło nieszczęście. Przepadł jego koń; został skradziony, oddalił się poza zasięg wzroku albo zerwał pęta i uciekł.

¹ Kojoty preriowe (*Canis latrans*) – drapieżniki z rodziny psowatych występujące w prawie całej Ameryce Północnej, mniejsze od wilka.

Z wysokości skalnego wzniesienia Shefford przeszukiwał wzrokiem trawiaste równiny i stoki, ale bez powodzenia. Potem próbował tropić konia, lecz z równie marnym skutkiem. Spodziewał się katastrof i pierwsza z nich go nie zniechęciła. Większość swych rzeczy spakował w koc, przerzucił manierkę przez ramię i wyruszył, pewny co najmniej jednej rzeczy – że jest znacznie lepszym podróżnikiem kiedy idzie pieszo, aniżeli jedzie konno.

Chodzenie nie dawało mu czasu na przyglądanie się okolicznym krajobrazom; mimo to od czasu do czasu, kiedy wspinał się na wzniesienie, obserwował różne ich szczegóły, do których przywykał. Po godzinach wytrwałego marszu osiągnął i minął żółty szczyt, który wybrał jako rodzaj celu. W pobliżu tej góry widział mnóstwo śladów owiec i koni, a raz na pewno dostrzegł Indianina patrzącego nań z wierzchołka stromego pasma skalnego.

Dzień był jasny i ciepły, z powietrzem tak czystym, że powiększało zarysy krainy, o której Shefford wiedział, że jest daleko. Teren wznosił się stopniowo, występowało wiele wąskich płaskich równin połączonych stopniami, trawa zaś stawała się coraz gęstsza i wyższa. W południe wędrowiec zatrzymał się pod pierwszym cedrem¹, samotnym, karłowatym krzewem, którego wygląd wskazywał, że jego życie jest ciężkie. Od tego miejsca grunt wznosił się w sposób bardziej dostrzegalny, a coraz częstsze cedry kierowały wzrok na purpurowy stok, który łączył się z zielenią pinii² i sosen³. Czy owa purpura była bylicami, które Venters opisywał z takim uczuciem, czy też jedynie skut-

¹ *Cedr* – prawdziwe cedry nie rosną w Ameryce Północnej, nazywane tak są tam inne gatunki drzew iglastych, zwłaszcza jałowce (*Juniper*); w Arizonie rosną gatunki *Juniperus utahensis* i *Juniperus osteosperma*, małe, do 6 m wysokości oraz *Juniperus scopulorum*, duże, do 20 m wysokości, dożywające do 2000 lat; dalej zostanie utrzymana nazwa cedry.

² *Pinie* (ang. *pinyon pine*) – w Stanach Zjednoczonych niewłaściwa pod względem botanicznym (pinie nie występują tam) nazwa kilku gatunków drzew z rodziny sosnowatych, w Arizonie głównie *Pinus edulis*, nieduże (do 20 m), często mają postać krzewów, o gęstej koronie, rosną powyżej wysokości 1500 m n.p.m., ich owoce są jadalne.

³ *Sosny* – w Arizonie występuje kilkanaście gatunków sosen, najczęstsze w północnej to sosna oścista (*Pinus aristata*), sosna giętka (*Pinus flexilis*), sosna jednoigielna (*Pinus monophylla*).

kiem mamiącej odległości? W każdym razie na ten widok Shefford zadrżał i nasunęła mu się na myśl dziwna, nieśmiała i piękna kobieta, którą Venters zdobył w owej krainie purpurowych¹ bylic.

Obliczył, że poprzedniego dnia przejechał trzydzieści mil, a tego pokonał już dziesięć, mógł więc liczyć, że przed nocą znajdzie się w kanionie. Shefford podjął podróż ze zbyt wielką energią i entuzjazmem, aby pomyśleć o zmęczeniu. Przekonał się także teraz, że ciągnące się przed nim cedry i zbocze za nimi są znacznie bliżej, niż to oceniał. Po dotarciu do bylic ujrzał, że są szare, a nie purpurowe. Mimo to trochę przed nim były zawsze purpurowe, a kiedy przymykał oczy, to również te rosnące blisko niego. Stwierdził ze zdumieniem, że nie może swobodnie oddychać, a przynajmniej odnosił takie wrażenie, a wkrótce potem odkrył, że to słodki, ostry, przenikliwy zapach bylic i cedrów wywiera nań ów dziwny skutek. Las ten był wyjątkowo suchy i pachnący, z każdą otwartą przestrzenią między kępami cedrów wypełnioną przez bujne bylice. Pinie rosły wyżej na *mesie*, a sosny jeszcze nad nimi. Shefford uznał, że zabłądził. Nie było tam szlaków; czarna *mesa* z prawej strony i skalista ściana z lewej przestały być widoczne; mimo to podążał naprzód pchany albo osobiwą pewnością siebie, albo nieprzemyślanym impulsem, a nie wiedział również, czy ten stok był długi czy krótki. Już na szczycie ujrzał z zaskoczeniem, że urywa się on gwałtownie, a zejście po drugiej stronie jest bardzo strome i krótkie. Poprzez drzewa widział znowu czarną *mesę*, wznoszącą się do godności góry, a pojawiała mu się także inna płaska, wąska dolina², tym razem z czerwoną ścianą biegnącą równolegle do *mesy*. Nie potrafił się powstrzymać przed zejściem na dno, aby mieć stamtąd nieprzesłonięty niczym widok. Jego zapal został wynagrodzony wspaniałą sceną, lecz z wielkim żalem nie potrafił się zmusić do uwierzenia, że ma ona coś wspólnego z krajobrazami, których kształty nosił w myślach. Dolina ta miała z pół mili szerokości,

¹ *Purpurowe* – wydzielane przez bylice olejki aromatyczne powodują, że bylice oglądane z dali wyglądają jakby miały purpurową barwę.

² *Dolina* – Long House Valley, znajdująca się na południe od Tsegi Canyon, przedłużenie Kletha Valley, połączona z nią rzeczywiście wąskim przejściem, z opisanymi dalej ruinami budynku, od którego wzięła nazwę (Dolina Długiego Domu).

może kilka mil długości, ciągnęła się zakrzywioną linią pomiędzy *mesą* o porośniętych cedrami zboczach a wiszącą ścianą z czerwonego kamienia. Nie było widać żadnego ptaka czy zwierzęcia. Odnalazł dobrze dostrzegalny szlak, ale nikt z niego ostatnio nie korzystał. Minał niski budynek z okorowanych pni i błota, z przypominającym drzwi czarnym otworem. Shefford nie potrzebował wielu minut, aby przekonać się, że dolina ma większą długość, aniżeli szacował. Szedł szybko i wytrwale, chociaż bagaż ciążył mu coraz bardziej. To, co leżało za wystającym narożnikiem *mesy* fascynowało go coraz bardziej i działało jak ostroga. Wreszcie okrążył ten narożnik i ku swemu rozczarowaniu ujrzał tylko kolejne porośnięte cedrami zbocze. Dojrzał przelotnie pojedynczą czarną skałę niby słup wznoszącą się bardzo daleko, która zniknęła, kiedy po dalszym marszu rosnąca grań zbocza przesłoniła niebo.

Shefford miał ponownie ograniczoną widoczność, utracił również wycucie powolnego i stopniowego wznoszenia się skał i wzrostu skali proporcji. W połowie tej wspinaczki musiał odpocząć; słońce ponownie chyliło się nisko, kiedy wszedł w las cedrowy. Zaraz potem zaczął schodzić i nagle znalazł się na otwartej przestrzeni ze scenarią, na widok której jego serce zabiło mu mocniej i szybciej.

Ujrzał wyniosłe turnie i wieżyczki jak w katedrach oraz cudowny kanion¹ wijący się pomiędzy wielkimi, mknącymi i czerwonymi ścianami. Słyszał szmer płynącej wody². Szlak wiódł w dół na dno kanionu, które okazało się płaskie, zielone i przecięte głębokimi dolami wymytych w czerwonej glebie. Czy ten kanion może być wylotem Deception Pass³? Nie przypominał żadnego miejsca, którego opisy Shefford słyszał, ale raczej wyczuwał aniżeli widział, że jest to portal

¹ *Kanion* – Tsegi Canyon stykający się z doliną Long House przy jej północnym wylocie, odchodzący od doliny Chinle, prowadzi do południowych zboczy Navajo Mountain, płynie nim Laguña Creek, jest rzeczywiście pierwowzorem Deception Pass; jego dolny wylot jest na wysokości 1838 m n.p.m.

² *Woda* – zapewne Laguña Creek (dawna nazwa Tyenda Creek), potok górski w północnej Arizonie płynący przez Tsegi Canyon i dolinę Chinle, dopływ Chinle Creek.

³ *Deception Pass* (ang.) – Zwodniczy Kanion, fikcyjna dolina występująca w powieści *Jeźdźcy krainy purpurowej bylicy*.

prowadzący do dzikiej twierdzy, dla osiągnięcia której wybrał się w tak długą drogę.

Dopiero po zejściu ze szlaku i zrzuceniu pakunku pojął, jaki był zmęczony i jak otarte ma stopy. Dlatego odpoczywał. Jego oczy mysz-kowały jednak tu i tam, a umysł działał. Jakże dzikie i samotne było to miejsce! Cichy szmer płytkiej wody dochodził doń z głębokiego, wąskiego wąwozu. Cienie powodowały już, że kanion zdawały się wypełniać sine opary. Shefford widział nagi, kamienny stok, na którym rosły cedry. Rozglądając się zaś wokół uświadamiał sobie osobliwą i wyraźnie wyczuwalną zmianę w grze światła i cieni. Słońce zachodziło; turnie były zwieńczone złotem, cienie wpełzały coraz wyżej, niebo zdawało się szybko ciemnieć; potem złoto przechodziło w powoli mroczniejącą czerwień, pojawiały się szarości i purpury. Shefford był pod urokiem piękna owych zmian, przyglądał się im, aż ściany stały się czarne, niebo nabrało stalowej barwy i wyrzwały blade gwiazdy. Wtedy zabrał się do prac niezbędnych przy rozbijaniu obozu.

Uśchłe cedry tuż pod rękę zapewniły mu wygodną noc, zasilając stale ognisko, a kiedy zaspokoił głód, umościł sobie siedzisko przed płonącymi szczapami i oddał się rozmyśleniom o jego niesamowitym, samotnym otoczeniu.

Szemranie płynącej wody stanowiło harmonijny akompaniament do jęków wiatru w cedrach – dzikich i przyjemnych odgłosów będących balsamem dla zranionej duszy Shefforda! Wydawały się bardziej stanowić część ciszy, aniżeli ją przerwać czy być zawadą w jej odczuwaniu. Nagle jednak ową ciszę zakłóciło stukanie na skałę. Siedzący nasłuchiwał, sądząc, że to grasuje jakieś dzikie zwierzę. Nie poczuł zaniepokojenia. Następnie dźwięk ten dobiegł go znowu, i znowu. Potem rozpoznał uderzanie o skałę niepodkutych kopyt. Szlakiem nadciągał jakiś koń. Sheffordowi nie spodobało się zbytnio to przeszkodzenie mu, ale nadal się nie bał. Uważał się za całkowicie bezpiecznego. W istocie przez całe swe życie czuł się wyłącznie bezpieczny i chroniony jak pod kloszem, a ponieważ nigdy nie zaznał zagrożenia, nie poznał, czym jest strach.

Wreszcie ujrzał konia i jeźdźca wyłaniających się na ciemnym wzniesieniu grzbietu znajdującego się tuż nad jego biwakiem. Odcinały się sylwetkami na tle rozgwieżdżonego nieba. Przybysz zatrzymał się, tworząc wraz ze swym wierzchowcem czarny posąg, w oczach Shefforda trochę dziki i dziwny. Potem ruszył, zniknął w mrokach pod grzbietem i zaraz wyłonił się w kręgu światła, jakie rzucało ognisko.

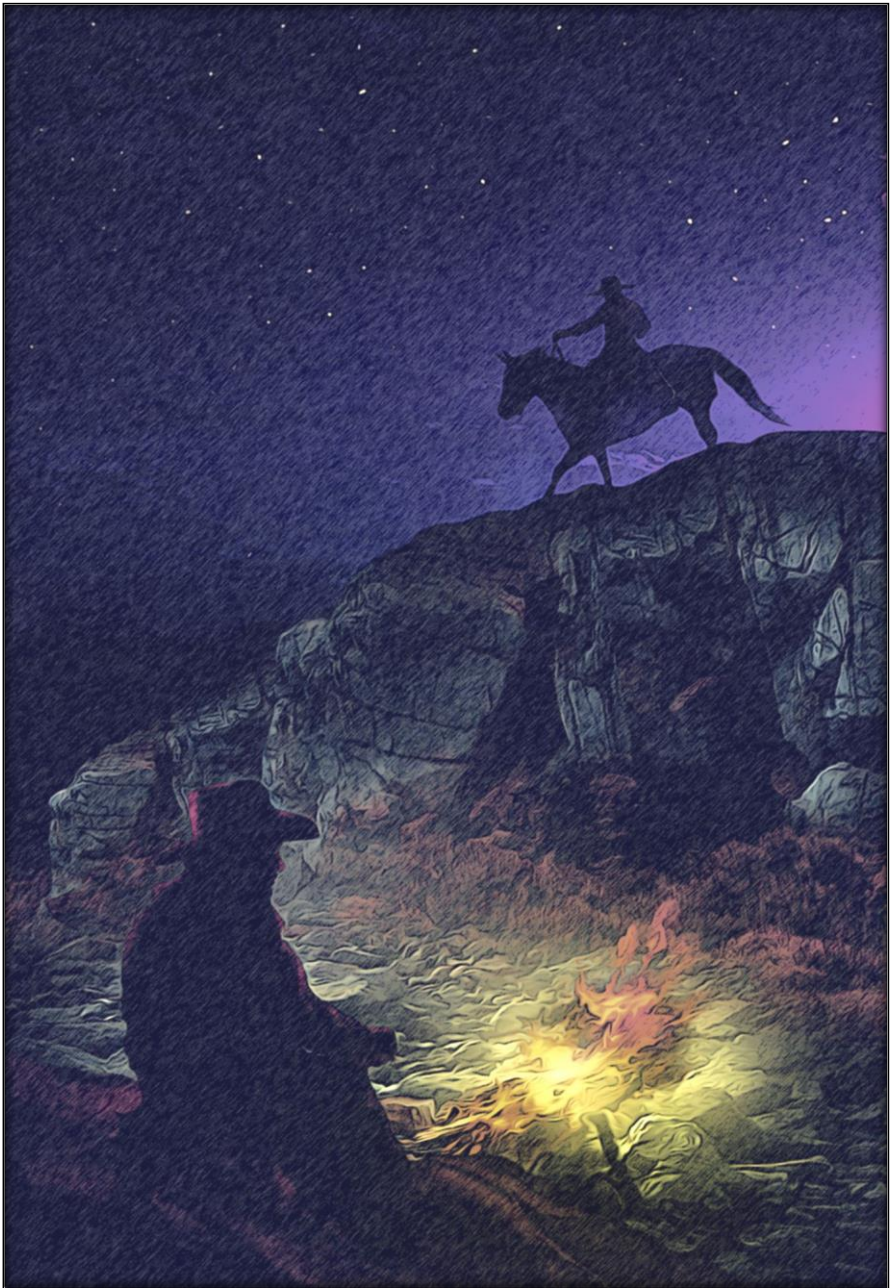
Przybysz podjechał na dwadzieścia stóp od Shefforda i ognia. Koń był ciemny, o dzikim wyglądzie i wyglądał na gotowego do ucieczki. Jeździec okazał się Indianinem, ale coś w nim wskazywało na kowboja. Shefford od razu przypomniał sobie, co Presbrey mówił mu o mieszkańcach. Przeszedł go lekki, niewytłumaczalny dłań dreszcz.

Przywitał gościa, ale nie doczekał się odpowiedzi. Zobaczył, jak ciemna, krępa postać pochyla się w siodle naprzód. Tamten mężczyzna był napięty. Wszystko w nim było mroczne, z wyjątkiem blasku leżącej w poprzek siodła strzelby. Twarz pod sombrero¹ krył cień. Shefford kopnął w drwa ogniska i scenę oświetlił jaśniejszy blask. Obcego zobaczył teraz trochę wyraźniej, dostrzegł niezwykle dużą głowę, szeroką, ciemną twarz, ponure, mocno zaciśnięte usta i błyszczące czarne oczy.

Oczy te były nieomylnie wrogie. Przesuwały się badawczo po pakunku Shefforda i po nim samym. Shefford pomacał za bronią, którą dał mu Presbrey. Przepadła jednak. Zostawił ją, kiedy stracił konia i potem już o niej nie myślał. Wówczas ogarnęło go osobliwe, nadciągające powoli zimne rozdygotanie. Coś chwyciło go za gardło.

Shefforda przeraził nagle groźący ruch jeźdźca, który wyciągnął rewolwer. Zobaczył, jak lśni niewyraźnie w blasku ogniska. Indianin zamierzał go zamordować. Shefford w rodzaju straszliwego zdumienia wpatrywał się w ponurą, ciemną twarz. Znaczenie tej wyciągniętej broni wyczuwał tak, jak nigdy niczego przedtem w całym życiu.

¹ *Sombrero* (hiszp. kapelusz, dosłownie rzucający cień) – kapelusz pochodzenia meksykańskiego, o bardzo szerokim rondzie, noszony dla osłony przed słońcem twarzy, szyi i karku, używany powszechnie w XIX wieku w południowej i zachodniej części Stanów Zjednoczonych.



Wreszcie ujrzął konia i jeźdźca wylaniających się na ciemnym wzniesieniu grzbietu znajdującego się tuż nad jego biwakiem.

Cofnął się padając w lodowatym, wywołującym mdłości przerażeniu. W jednej sekundzie pokrył go kapiący, zimny pot. Przez głowę przelały mu szybkie jak błyskawica myśli. Jednym z głoszonych przezeń banałów było zapewnianie, że nie boi się śmierci. Tu jednak okazał się rozdygotanym, bezradnym tchórzem. Czego nauczył się tak o życiu, jak i o śmierci? Czy ten ciemny dzikus wysłał go w nieznaną? Wtedy to Shefford pojął, jego filozofia jest płytka, a życie ma gorzko-słodki smak. Posiadał mózg i duszę, może dzięki nim znajdzie sposób ratunku. Czym jednak były wobec tego bezlitosnego nocnego wędrowca, wobec tej surowej i okropnej dzikości pustyni?

Niezdolny do umyślnego ruchu Shefford, z językiem przywartym do podniebienia, przyglądał się jeźdźcowi i prawie wycelowanemu w niego rewolwerowi. Potem Shefford dojrzał, że głowa przybysza obróciła się lekko, że nastawił on uszy na wiatr. Nasłuchiwał. Jego koń nasłuchiwał. Nagle się wyprostował, okręcił wierzchowca i odjechał stępa w mrok. Nie wspiął się jednak na wzniesienie, z którego przybył.

Shefford słyszał stuki kopyt na kamienistym szlaku. Do kanionu zjeżdżały inne konie z jeźdźcami. Były przyczyną jego ocalenia i poczuł taką ulgę, że niemal zemdlął. Potem znowu usiadł, powoli dochodząc do siebie, powoli przestając drzeć, przewidując, że doświadczenie to zmieni jakoś jego postawę wobec życia.

Trzy konie, dwa dosiadane przez jeźdźców, poruszały się nad grzbietem wzgórza ciemnymi kształtami na tle nieba, zniknęły tak samo, jak pierwszy gość Shefforda, a potem wjechały w obręb światła. Obozujący zobaczył dwójkę Indian – mężczyznę i kobietę, a potem ze zdumieniem rozpoznał w niej dziewczynę, którą spotkał nad Red Lake. Jeszcze bardziej się zdumiał w trzecim koniu poznając swojego, którego zgubił na poprzednim biwaku. Wstał, z trochę trzęsącymi się nogami, aby podziękować tym Indianom za podwójną przysługę. Mężczyzna zsunął się z siodła, a jego obute w mokasy ny stopy lekko zatupały. Był wysoki, szczupły, wyprostowany, o wyjątkowo zgrabnej sylwetce, a kiedy się zbliżył, Shefford dostrzegł ciemną twarz i bystre, ciemne oczy. Indianin miał gołą głowę, z włosami przytrzymywa-

nymi opaską. Był podobny do dziewczyny, ale miał bardziej przy stojną twarz.

– Jak się masz? – powiedział głosem cichym i wyraźnym. Wyciągnął dłoń i Shefford wyczuł jej żelazny uścisk. Odwzajemnił się tym samym. Potem Indianin wręczył mu uzdę konia i gestami dał do zrozumienia, że koń zerwał pęta i odszedł. Shefford podziękował mu. Wówczas Indianin rozsiadł się i odprowadził konie, najpewniej w celu ich napojenia. Dziewczyna została. Shefford zwrócił się do niej, ale okazała się nieśmiała i nie odpowiadała. Zabrał się wtedy do przygotowywania posiłku dla gości i zajmował się tym jeszcze, kiedy Indianin wrócił bez koni. Następnie Shefford zajął ponownie swe miejsce przy ognisku i patrzył, jak para jego gości je to, co im przygotował. Na pewno byli głodni, gdyż miski i kubki szybko się opróżniły. Potem dziewczyna cofnęła się lekko w cień, zaś mężczyzna usiadł ze skrzyżowanymi nogami i stopą schowaną pod udem.

Jego ciemna twarz była gładka, ale pod swą powierzchnią zdawała się mieć zmarszczki. Fascynował Shefforda. Nigdy nie widział Indianina, który by równie go zaciekał. Przy zdawkowym spojrzeniu wyglądał on na młodego, dzikiego, milczącego, pogrążonego w pierwotnej apatii, na jedynie zdrowego dzikusa; jeśli jednak przyrzec się baczniej, wydawał się być dojrzały, a nawet stary, postacią obcą, smutną, pogrążoną w myślach, z brzemieniem na ramionach. Shefford uświadomił sobie, że jest coraz bardziej zaintrygowany.

– Co to za miejsce? – zapytał Shefford wskazując ręką na ciemny otwór pomiędzy czarnymi urwiskami.

– Sagi¹ – odparł Indianin.

Słowo to dla Shefforda nic nie znaczyło i zapytał, czy Sagi to przełęcz, ale Indianin pokręcił głową.

– Żona? – zapytał Shefford, wskazując dziewczynę.

Indianin ponownie pokręcił głową.

– *Bi-la*² – powiedział.

¹ *Sagi* – dawna nazwa kanionu Tsegi, z Tséyi’, jego nazwy w języku nawaho, o znaczeniu „między skałami”.

² *Bi-la* – w języku nawaho słowo *bilááh* ma znaczenie „poza, dalej”.

– Co to znaczy? – zapytał. – Co *bi-la*?

– Siostra¹ – odrzekł Indianin.

Wymówił to słowo z oporem, jakby język białych ludzi mu nie odpowiadał, ale wyrazność i prawidłowość wymowy zdumiały Shefforda.

– Jakie imię... jak się nazywa? – pytał dalej.

– Glen-Naspa².

– Twoje imię? – ciągnął Shefford, wskazując na Indianina.

– Nas Ta Bega³ – odparł Indianin.

– Nawaho?

Indianin uklonił się jakby z dumą i poważną godnością.

– Moje miano to John Shefford. Przybyć z bardzo daleka do wschodzące słońce. Przybyć zostać tu długo.

Ciemne oczy Nas Ta Begi wpatrywały się uważnie w Shefforda, który uprzytomnił sobie, że nie pamięta, kiedy spoczywało na nim równie przenikliwe spojrzenie. Jednak ani oczy Indianina, ani twarz nie zdradzały zupełnie jego myśli.

– Nawaho nie pojmuje Jezus Chrystus – powiedział Indianin, a jego głos toczył się cicho i głęboko.

Shefford poczuł zarówno zdumienie, jak i urazę. Indianin wziął go za misjonarza.

– Nie...! Ja nie misjonarz – zawołał Shefford i z gorącą pogardą machnął ręką.

W ciemnych oczach Indianina zalśnił dziwny błysk. Uderzył on Shefforda nawet w bolesnej chwili, kiedy przypomniła mu się przeszłość.

– Handel... kupić wełna... koc? – zapytał Nas Ta Bega.

– Nie – odpowiedział Shefford. – Ja chcieć jechać... iść daleko. – Szerokim skinięciem ręki wskazał okolice. – Ja chory.

¹ *Siostra* – w języku nawaho „siostra” to *ádi* (starsza siostra) i *adeezhi* (młodsza siostra).

² *Glen-Naspa* – w języku nawaho słowo *gloe-eh-na-ah-wo-hai* ma znaczenie „łasicą”.

³ *Nas Ta Bega* – w języku nawaho słowo *nástléé* ma znaczenie „mokry”, a *beh-gha* „dosyc”, może też chodzić o *be-gha* „przy”; pierwowzorem Nas Ta Begi był Nasja Begay, przewodnik Zane Greya podczas jego wyprawy w roku 1911 do Tsegi Canyon; Nasja Begay był Pajutem, a nie Nawaho, jego imię na znacznie Syn Sowy.

Nas Ta Bega położył znacząco palce na swych płucach.

– Nie – odparł Shefford. – Ja silny. Chory tutaj. – I ruchami swej ręki próbował pokazać, że jego schorzenie dotyczy serca.

Odniosł natychmiast wrażenie, że ten Indianin pojął go od razu, ale nie potrafiłby powiedzieć, jakie było źródło tego przekonania. Nas Ta Bega wstał zaraz i odszedł w mrok. Shefford słyszał, jak pracuje przy uschłym cedrze, do którego poszedł zapewne po drwa do ogniska. Następnie usłyszał trzask rozłupania, a po nim odgłos miażdżenia, padania. Wreszcie zobaczył z osłupieniem, jak Indianin wchodzi w krąg światła ciągnąc całe drzewo, pnem naprzód. Shefford wątpiłby, aby dwoje ludzi mogło przywlec ten cedr, a oto Nas Ta Bega zrobił to bez trudu. Indianin położył pień przy ognisku, a następnie zabrał się do odłamywania gałęzi, które umieszczał zmyślnie tam, gdzie od czerwonych węgli zajęły się płomieniami.

Następnym działaniem Indianina było przesunięcie siodła, które najwyraźniej miało się stać jego poduszką. Potem rozpostarł na ziemi kozią skórę, położył się na niej plecami do ogniska i naciągnawszy na ramiona długowłose koc pod siodło, rozluźnił się i znieruchomiał. Jego siostra, Glen Naspą, postąpiła podobnie, choć w miejscu bardziej oddalonym od ognia, a jej koc był większy i okrył ją całą. Shefford odniósł wrażenie, że oboje zasnęli od razu.

Shefford czuł się zmęczony, jak nigdy przedtem, ale nie sądził, że zdoła szybko zapaść w sen, a w istocie wcale tego nie chciał.

Towarzystwo tych Indian zapewniało mu coś, czego nie doświadczył wcześniej. Nie wyzbył się jeszcze dziwnego i słabego uczucia, pokłosa przerażenia, które ogarnęło go okropnym, lodowatym uściskiem. Przybycie Nas Ta Begi odstraszyło owego mrocznego i cichego rabusia nocy, Shefford był także przeświadczony, że Indianin uratował mu życie. Rozmiar wdzięczności budził w nim zdumienie. Czy tak bardzo cenił sobie życie? Tak – cenił je, kiedy zetknął się bezpośrednio ze śmiercią. Dowiedział się o tym. Pomogło mu. Owe dziwne uczucie dało mu też przekonanie, że romantyczne poszukiwania, które sprowadziło go w dzikie pustkowie, może okazać się antidotum na śmiertelne rozgoryczenie serca.

Z nowymi odczuciami przyszły nowe myśli. Właśnie teraz czerpał wielką przyjemność z siedzenia w ciepłe i świetle trzaskającego w ogniu cedru. Kości wypełniał mu głęboko tkwiący ból wywołany zmęczeniem. Co za radość dawał odpoczynek! Czuł suchą udrękę pustynnego pragnienia i ukłucia głodu. Jakże wspaniałe było poznanie prawdziwego znaczenia wody i jedzenia! Kończył właśnie najdłuższy, najcięższy dzień pracy swego życia! Czy miało to coś wspólnego z czymś niemal przypominającym spokój, co zdawało się czaić w pobliskich cieniach, próbowało przedostać się do niego? Zaznajomił się z indiańską dziewczyną, a teraz jej brat słał wyrządzonej przez siebie przysługę. Tak owe dawanie, jak i przyjmowanie sprawiało Sheffordowi pewną przyjemność. Otwierało niejasno dotychczas znane kanały myśli. Przez lata wyobrażał sobie, że służył ludziom, choć nigdy nie kiwnął nawet palcem. Cios zadany w obronie indiańskiej dziewczyny w jakiś sposób wprowadził zmianę w życiu Johna Shefforda. Wyzwolił w nim ducha. Ponadto wywarł wrażenie i poza jego umysłem. Indianka i jej brat ruszyli jego tropem, aby zwrócić mu konia, może żeby przeprowadzić go bezpiecznie, ale ponadto, być może nieświadomie, uczynili dlań coś nieskończenie większego. Kiedy Shefford błędził wzrokiem po ciemnych, cichych śpiących postaciach, doznawał osobliwego, marzycielskiego przeczucia, czy może jedynie rojenia, że z owego pomyślnego spotkania coś wyniknie.

Ponadto dobrze było przebywać tam w przemawiającym milczeniu, czuć ciepło na wyciągniętych dłoniach i zimny wiatr na policzku, widzieć czarną ścianę wznoszącą swój śmiały zarys i turnie sięgające do białych gwiazd.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!